



Nr 2 (278)
LUTY 2019

POLSCIE WIERNI

MIESIĘCZNIK ZWIĄZKU KOMBATANTÓW RP I BYŁYCH WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH



POWSTANIE WIELKOPOLSKIE



WIELKOPOLSKA INSUREKCJA

Rankiem, 10 listopada 1918 r., pociągiem specjalnym z Berlina przybył zwolniony z twierdzy magdeburskiej Józef Piłsudski, któremu nazajutrz Rada Regencyjna przekazała naczelne dowództwo nad tworzącą się armią polską. Kilka dni później, już po podpisaniu 11 listopada przez Niemców zawieszenia broni, Piłsudski wysłał telegram do prezydenta Stanów Zjednoczonych, rządów – francuskiego, włoskiego, japońskiego i niemieckiego – informujący o powstaniu niepodległego Państwa Polskiego. Ale było to państwo silne jedynie ideą niepodległości. Żadna z granic nie została jeszcze ustanowiona, dopiero za rok rozpoczęła się konferencja wersalska.

Rozpoczynają się heroiczne walki Polaków o granice Rzeczypospolitej – zachodnią, południową, wschodnią, które z różnym natężeniem trwać będą do 1921 r. W walkach tych, szczególnie piękną kartę zapisała Wielkopolska, która w traktacie rozbiorowym została w 1793 r. włączona do zaboru pruskiego, a w 1894 r. stała się Prowincją Poznańską.

Przez cały czas zaborów Wielkopolanie przeciwstawiali się zaborcom. Przykładem może być strajk uczniowski we Wrześni, Wóz Michała Drzymały, pozytywistyczna praca Karola Marcinkowskiego, Hipolita Cegielskiego czy Dezyderygo Chłapowskiego. Ale dopiero wybuch I wojny światowej stał się światełkiem w tunelu.

27 grudnia 1918 r., jadąc do Warszawy, w Poznaniu, zatrzymał się Ignacy Jan Paderewski, znakomity pianista, wielki mąż stanu. Z balkonu hotelu „Bazar” wygłosił do tysięcy zebranych poznanianów płomienne, patriotyczne przemówienie, nawołujące do pojednania i zgody narodowej, informując o tworzeniu się w Warszawie rządu pod kierownictwem naczelnika

państwa Józefa Piłsudskiego. *Niech żyje Polska od Bałtyku do Tatr* – zakończył.

Zgromadzony tłum z entuzjazmem przyjął słowa Paderewskiego ale w tym czasie Niemcy zorganizowali agresywną kontrmanifestację, której uczestnicy zdemastrowali po drodze siedzibę polskiego Komisariatu Naczelnej Rady Ludowej. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Padły pierwsze strzały. Wybuchło Powstanie Wielkopolskie.

Po fiasku rozmów z Niemcami na tymczasowego dowódcę Powstania Rada mianowała kapitana Stanisława Toczek. Do końca 1918 r. Polacy opanowali część Poznania, jednak za datę wyzwolenia miasta przyjmuje się 6 stycznia 1919 r., kiedy to opanowano lotnisko wojskowe w Ławicy. Wkrótce też walki objęły cały obszar pruskiego zaboru. Mimo że część miejscowości zajmowano niemal bez rozlewu krwi, o niektóre, m.in. Szubin, Nakło, Inowrocław, Chodzież toczono uporczywe walki. Niebawem Powstanie przyjęło bardziej zorganizowany charakter – doprowadzono do ustabilizowania linii frontu, mianowano dowódców. W styczniu dowództwo przejął gen. Józef Do-

wbor-Muśnicki, któremu udało się stworzyć regularne, liczące blisko 100 tys. ludzi wojsko wielkopolskie.

Mimo trwania zawieszenia broni Niemcy nie pogodzili się z utratą żywej Wielkopolski i planowali podjęcie w kwietniu i maju 1919 r. wielkiej ofensywy. Ale zdecydowana postawa marszałka Ferdynanda Focha – naczelnego dowódcy wojsk ententy pokrzyżowała te plany.

W lutym 1919 r. podpisano układ przedłużający rozejm z Niemcami. W odrębnym zapisie stwierdzono, że Niemcy powinni niezwłocznie zaprzestać wszelkich działań ofensywnych przeciwko Polakom. Układ określał także linię demarkacyjną obejmującą tereny zdobyte w czasie walk powstańczych. Mimo tego Niemcy, nie mogąc pogodzić się z sytuacją, prowadzili tu i ówdzie działania zbrojne. Zwycięstwo Polaków przypieczętował ostatecznie Traktat Wersalski (28 czerwca 1919 r.).

Dobrze wyszkolona, uzbrojona oraz jednolicie umundurowana Armia Wielkopolska weszła w skład Wojska Polskiego wstawiając się w dalszych walkach m.in. w wojnie polsko-bolszewickiej.

➔ Dokoroczenie ze str. 3

Powstanie Wielkopolskie stało się także przykładem i wsparciem dla powstań śląskich, w tym trzeciego powstania istotnego dla ustanowienia granicy w tym rejonie.

Wstulenie wybuchu Powstania Poznań, a z nim cała Wielkopolska, niezwykle uroczyście świętowała rocznicę, której nadano rangę państwową.

27 grudnia rano, stolicę Wielkopolski odwiedził premier Mateusz Morawiecki.



Złożył kwiaty na mogile pierwszego naczelnego dowódcy powstania gen. Stanisława Toczka, a następnie odśpiewał przed urzędem wojewódzkim „Tablicę Wdzięczności”. *Dziś wszyscy jesteśmy powstańcami* – powiedział w swoim przemówieniu.

W poznańskiej farze, z udziałem prezydenta Andrzeja Dudy, odprawiona została msza święta w intencji powstańców przez metropolitę poznańskiego, arcybiskupa Stanisława Gądeckiego.

Prezydent RP oddał także hołd Powstańcom Wielkopolskim w miasteczku Mosina, gdzie na cmentarzu znajduje się ponad sto grobów uczestników insurek-



cji. *To dzięki bohaterstwu Wielkopolan Rzeczpospolita odzyskała Wielkopolskę* – podkreślił prezydent, zwracając się do zgromadzonych poznańców.

W kulminacyjnym momencie uroczystości o godz. 16.40 w całym Poznaniu stanął ruch – zatrzymały się tramwaje, autobusy, rozdzwoniły się dzwony, zawyły syreny. Padł komunikat – **100 lat temu padły pierwsze strzały powstania... Chwała Bohaterom! Cześć ich pamięci!** Przy pomniku Powstańców Wielkopolskich rozpoczęły się – z udziałem przedstawicieli władz państwa, regionu, miasta i tysięcy poznańców – oficjalne uroczystości.

W obchodach rocznicy na terenie Wielkopolski aktywny udział wzięli Weterani Walk o Niepodległość RP – członkowie ZKRPIBWP. Zarząd Główny Związku w uroczystościach w Poznaniu reprezentował prezes Wielkopolskiego Związku – dr Marian Król.

Obchodom towarzyszyły liczne atrakcje – w tym pokazy grup rekonstrukcji historycznej w mundurach z epoki zrywu powstańczego.

Setną rocznicę wybuchu Powstania Wielkopolskiego obchodzono uroczyście także w Warszawie w obecności licznej delegacji Wielkopolan reprezentujących władze administracyjne i samorządowe Poznania oraz miast tego regionu. Przybyli potomkowie powstańców, harcerze. Na placu marszałka Józefa Piłsudskiego odbyła się uroczysta zmiana posterunku honorowego przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Gości powitał dowódca Garnizonu Warszawa gen. bryg. Robert Głąb. Marszałek woj. wielkopolskiego Marek Woźniak nawiązał do wydarzeń sprzed lat ukazując tło historyczne powstania i warunki, w jakich do niego doszło. Przypominał też o bohaterskiej postawie mieszkańców Poznania i innych miast podejmujących z niezwykłą determinacją walkę z pruskim zaborcą.

Uczestniczący w uroczystości szef UdsKiOR Jan Józef Kasprzyk podkreślił, że uroczystość odbywa się w sercu Warszawy przed Grobem Nieznanego Żołnierza, *...aby oddać hołd tym, którzy 100 lat temu porwali się po to, aby Wielkopolska stała się*



ponownie integralną częścią Rzeczypospolitej...

Po modlitwie, którą odmówił metropolita warszawski ks. kardynał Kazimierz Nycz, odczytany został Apel Pamięci, po czym żołnierze Kompanii Reprezentacyjnej WP oddali salwę honorową.

Uroczystość zakończyła defilada pododdziałów reprezentacyjnych WP, harcerzy Chorągwi Wielkopolskiej ZHP, grup rekonstrukcji historycznej oraz pocztów sztandarowych.

A. S.



Fot. Piotr Ziętka

W IMIENIU PAŃSTWA POLSKIEGO

1 lutego 1944 r. żołnierze oddziału specjalnego jednostki Kierownictwa Dywersji (Kedywu) dokonali udanego zamachu na dowódcę SS i Policji Dystryktu Warszawa gen. Franza Kutscherę. Akcją dowodził Bronisław Pietraszkiewicz „Lot”, a uczestniczyło w niej 12 osób, w tym trzy kobiety – łączniczki. Zginęło czterech uczestników. Następnego dnia, w odwecie, Niemcy rozstrzelali stu Polaków. Miejsce zamachu upamiętnia głaz ze stosowną tablicą w pobliżu skrzyżowania al. Ujazdowskich z ul. Piękną. Corocznie, w miejscu akcji, składane są kwiaty i płoną znicze.

Zamach na Kutscherę nie był jedynym, zorganizowanym przez



AK na wysokich dygnitarzy Generalnego Gubernatorstwa, ale jedynym w pełni udanym. Decyzja o przeprowadza-

niu zamachów w miejscach publicznych – w odwecie na terror okupanta podjął w 1942 r. Komendant Główny AK gen. Stefan Rowecki „Grot”. W tym celu powołano w 1942 r. głęboko utajnioną Organizację Specjalnych Akcji Bojowych „OSA”.

Sz szczególnie spektakularne znaczenie miał nieudany zamach na Generalnego Gubernatora



dr. Hansa Franka. 29 stycznia 1944 r. Akowcy zaatakowali pociąg specjalny wiozący Franka z najbliższymi współpracownikami pomiędzy Staniątkami a Szarowem. Pociąg został wykolejony, a Frank jadący w ostatnim wagonie wyszedł bez szwanku.

Od tego czasu znacznie wzmocniono osobistą ochronę gubernatora, co praktycznie wykluczyło dalsze próby zamachu.

Większość akcji przeprowadzono w stolicy GG – Krakowie. Pierwszą był zamach na szefa SS i Policji Generalnego Gubernatorstwa SS – Obergruppenführera Friedricha W. Krügera, przeprowadzony 20 kwietnia 1944 r. Krüger odpowiedzialny

był bezpośrednio za aresztowanie profesorów krakowskich uczelni (Sonderaktion Krakau), akcje przeciw polskiej inteligencji (AB-Aktion) a przede wszystkim za wysiedlanie Polaków z Za-

mojszczyzny oraz eksterminację Żydów. W wyniku akcji Krüger został ranny w kręgosłup. Przeniesiono go z Krakowa najpierw do Finlandii, potem dowodził policyjną Kampfgruppe.

Następcą odwołanego gen. Krügera został gruppenführer SS Wilhelm Koppe, który jednocześnie został członkiem tzw. rządu Generalnego Gubernatorstwa. Koppe był wyjątkowo bezwzględny nazistą, odpowiedzialnym m.in. za rozstrzelanie 100 więźniów osadzonych w areszcie na ul. Montelupich w Krakowie w odwecie za zamach na Hansa Franka.

Zamach na Koppe'go przygotowany bardzo starannie, z udziałem 19 żołnierzy batalionu „Parasol” oraz pięciu łączniczek. 11 lipca 1944 r. na trasie przejazdu dygnitarza z Wawelu do urzędu gestapo grupa egzekucyjna miała wyeliminować samochód z obstawą, a następnie ostrzelać samochód Koppe'go.



Tymczasem mercedes Niemca minął blokującą trasę ciężarówkę i mimo intensywnego ostrzału zdołał umknąć Polakom. Po nieudanym zamachu dwóch żołnierzy „Parasola”, w czasie odwrotu poza miasto zginęło, a trzech rannych zamordowano w więzieniu w Krakowie. Koppe – mimo udokumentowanych zbrodni – uniknął odpowiedzialności (zmarł w Bonn w 1975 r).

Ale zamachy Armii Krajowej nie ograniczały się tylko do terenów okupowanej Polski. Przeprowadziła wiele głośnych zamachów bombowych na terenie III Rzeszy. Spośród akcji w latach 1940-1943 najbardziej znane to zamachy na dworcach kolejowych w Berlinie i Wrocławiu (Breslau).

13 lutego 1943 r. na stacji S-Bahn (kolei miejskiej) przy Fridrichstrasse w Berlinie dokonano detonacji ładunku wybuchowego – zginęło 36 żołnierzy Wehrmachtu oraz funkcjonariuszy gestapo, a 78 osób odniosło rany.

10 kwietnia, na dworcu kolejowym, przy tej samej ulicy Fridrichstrasse, zdetonowano bombę w pociągu z urlopowanymi żołnierzami Wehrmachtu. Zginęło 14 osób, a 60 zostało rannych.

Z kolei we Wrocławiu, 23 kwietnia, wybuchła bomba przy pociągu z żołnierzami jadącymi na urlop. Zginęło czterech żołnierzy. Kierujący zamachami oddział specjalny AK „Zagra-Lin” planował także wykolejenie pociągu specjalnego z Adolfem Hitlerem. Mimo podłożenia ładunków na trasie przejazdu do zamachu nie doszło, gdyż w ostatniej chwili pociąg zmienił trasę.

Rozwiązanie oddziału specjalnego Kedywu „OSA”, mającego szczególne zastugi w opi-

sanych akcjach, nastąpiło w nieoczekiwany sposób. W czerwcu 1943 r. w kościele p.w. św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży w Warszawie odbywał się ślub oficera „OSY” por. Mieczysława Kniejewskiego z siostrą kolegi Teofilą Suchanek. Wbrew zasadom konspiracji na ślub przyszło 90 osób, w tym 25 żołnierzy „OSY”. Kościół został – w wyniku zdrady – otoczony przez jednostki gestapo, a wszyscy uczestnicy ceremonii aresztowani. W tej sytuacji dowództwo AK zdecydowało o rozwiązaniu oddziału, w tym zespołu zagranicznego. Jak się później okazało, aresztowani, mimo drastycznych przesłuchań, nie zdekonspirowali kolegów.

Zamachy na hitlerowskich dostojników – w większości nieudane – spowodowały odwet okupanta. Rozstrzelano setki Polaków. Czy organizatorzy akcji brali to pod uwagę? Zdania są nadal podzielone... Niemniej zamachy, dokonywane w rejonie silnie strzeżonych niemieckich dzielnic wprowadzały atmosferę niepewności i strachu wśród nazistów. W większości prowadzone były w 1944 r., a więc po klęskach Wehrmachtu na froncie wschodnim, a część po udanej inwazji zachodnich aliantów na północy Francji (operacja Overlord). Informacje o zamachach znalazły także oddźwięk w audycjach radiowych i w prasie, m.in. w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych oraz konspiracyjnej prasie w Polsce.

Były sygnałem do opamiętania i zapowiedzią, że zbrodnie hitlerowskie zostaną ujawnione, a sprawcy (co nie zawsze miało miejsce) osądzeni.

STEFAN JAGIELSKI



PRADZIADKOWIE – „SPRAWIEDLIWI WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA”

Nazwa Konkursu, w którym mam przyjemność uczestniczyć, jest bardzo wymowna. Tacy ludzie są wśród nas i zawsze z nami byli. Wielu z nich ujawniło się podczas II wojny światowej, kiedy poświęcali swoje życie dla innych. Przykładem jest m.in. franciszkanin ojciec Maksymilian Kolbe, który w nazistowskim obozie koncentracyjnym, podczas apelu postanowił zastąpić skazanego na śmierć Franciszka Gajowniczka. Jego historia, tak jak historia innych ofiar nazizmu, przekazywana jest w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie.

II wojna światowa to jedno z najtragiczniejszych wydarzeń w dziejach świata, zginęło około 50 mln ludzi, z czego w Polsce blisko 6 mln. W tym okresie miał miejsce największy w dziejach ludzkości Holokaust czyli zapowiadana, instytucjonalnie zorganizowana i systematycznie przeprowadzona eksterminacja europejskich Żydów. Ogrom zbrodni, całkowity brak jej racjonalnych przesłanek nie mieści się w kategoriach naszych norm moralnych, zasad ani pojmowania świata. Do dziś nie znamy odpowiedzi na pytania: co zrobić, aby się to już nigdy nie powtórzyło? Co takiego wydarzyło się w świecie, że jedni ludzie mówili drugim: *Nie możecie żyć, nie jesteście ludźmi?*

W chwili wybuchu II wojny światowej Polska była największym skupiskiem ludności żydowskiej w Europie. W przededniu wojny żyło tu około 3 mln Żydów, co stanowiło ok. 10% ludności państwa.

Okupanci zaczęli tworzyć izolowane, zamknięte dzielnice przeznaczone wyłącznie dla Ży-

dów – getta. Były one skrajnym przykładem niemieckiej polityki dyskryminacji rasowej i środkiem eksterminacji ludności żydowskiej. Początkowo getta miały charakter otwarty, jednakże za przekraczanie ich granic groziły surowe kary. Od 1940 r. getta zostały całkowicie zamknięte. Ich teren otoczono murami lub drutem kolczastym. Jedno z nich utworzono w Rawie Mazowieckiej.

Bohaterów XX w. znam głównie z przekazów medialnych, ale wiele dowiedziałam się również z rodzinnych opowieści. Najbardziej ekscytujące są opowieści o dzielnych ludziach z czasów II wojny światowej, ich heroicznych czynach w walce o przetrwanie oraz ratowaniu życia innym, nie tracąc przy tym człowieczeństwa. Każda wojna sieje ogromne spustoszenie wśród ludzi i wzbudza nienawiść, która często trwa przez pokolenia. Jednak nawet podczas bezwzględnej zagrożeń życia można zachować godność, wiarę i miłość do drugiego człowieka, o czym przekonałam się, słuchając historii mojego prapradziadka Józefa Galacha i jego córki Feliksi Galach-Karczewskiej.

Mieszkali oni w małej wsi Zawady w województwie łódzkim, w powiecie rawskim, w gminie Rawa Mazowiecka. Dziadek mojej babci – Józef Galach poślubił Józefę, z którą miał troje dzieci: syna i dwie córki, jedną z nich była Feliksa – moja prababka. ➔

Mieszkańcy wsi mojego pradiadka bardzo szanowali, pełnił funkcję sołtysa. Podczas okupacji musiał spotykać się z Niemcami przy różnych okazjach. W trakcie jednego z tych

spotkań pewien żołnierz, w zafaniu, poinformował go, że 27 października 1942 r. będą likwidować getto w Rawie Mazowieckiej. Dzień wcześniej przewieziono tam około czterech tysięcy Żydów z Białej Rawskiej, którzy noc spędzili pod gołym niebem. Rankiem Niemcy otoczyli getto. Żydzi zostali zmuszeni do opuszczenia swych mieszkań, a następnie wywiezieni do obozu zagłady w Treblince. Podczas akcji likwidacyjnej na terenie miasta zabito wiele osób.

Poza obowiązkami, jakie pradiadek pełnił jako sołtys, czyli dbanie o dobro mieszkańców wsi i ich interesy, pracował też w polu i na gospodarstwie, zapewniając byt rodzinie. Małżeństwo Galach, gdy dowiedziało się o likwidacji getta, postanowiło nie być obojętnym i pomagać w ucieczce przed zaplanowaną zagładą oraz zapewnić schronienie Żydom.

Józef, jako sołtys, dostarczał przetwory, produkty rolne oraz świeże mięso do obozu niemieckiego. Pozwalano mu również na handel w getcie. Narażając życie własne i całej rodziny kilkakrotnie potajemnie wywiózł z zamkniętej dzielnicy uwięzionych tam ludzi. Prowadził ich do swojego domu, gdzie dzielił się najpotrzebniejszymi rzeczami, takimi jak lekarstwa, jedzenie, po czym ukrywał ich na pod-

daszu, do którego prowadziły schody chowane w suficie oraz w ziemiance, do której wchodziło się ukrytym wejściem, wyjmując dwie ruchome deski podłogowe ukryte pod dywanem. Najczęściej, po kilku dniach, ukrywane rodziny opuszczały dom i próbowały wyjechać do swoich rodzinnych stron.

Największą akcją Galachowie przeprowadzili w noc przed likwidacją getta. Gdy Józef kolejny raz załatwiał sprawy w getcie, zaczepiła go znajoma żydówka – Toba Frimet Balbin. Poprosiła o pomoc w ucieczce i ocaleniu życia jej rodzinie. Tej nocy żona Józefa przyprowadziła do swojej posiadłości sześćosobową rodzinę Balbin. Byli to: Toba-Frimet wraz z mężem Jiddelem, ich synami Meirami, Shaul-Zeligiem i Jakubem oraz ich córką Salą.

Prapradziadek, troszcząc się o bezpieczeństwo swoich najbliższych, bał się umieszczenia Żydów w swoim domu, groziła za to kara śmierci dla całej rodziny. Józef, zachowując się jak prawdziwy bohater, nie zważał na konsekwencje. Ukrył rodzinę Balbin w drewnianej stodole, w tak zwanym „sąsiek”.
Gospodarze, po żniwach przywozili do stodoły żyto, które zazwyczaj układali od ziemi po sam sufit. Pradiadek jednak wymyślił, że nie będzie układał go przy ziemi, ale nieco wyżej. To w tej przestrzeni ukrywał Żydów. Balbinowie pozostali w Zawadach prawie trzy lata. Stodoła była dla nich domem i całym życiem, ponieważ w ciągu dnia nie mogli z niej wyjść.

18-letnia córka państwa Galach, Feliksa, brała udział w akcji ratowniczej, a potem przynosiła uciekinierom jedzenie,



prała ubrania i opiekowała się jednym z braci Balbin, który zapadł na tyfus. Feliksa najbardziej zaprzyjaźniła się z Salą, która była jej rówieśniczką.

Na studni przy domu w Zawadach ktoś z rodziny Balbin wydrapał rok 1940, niestety nie wiadomo co oznaczała dla nich ta data, ale z pewnością była ważna. Prawdopodobnie w 1945 r. rodzina żydowska pożegnała Galachów i udała się do Rawy Mazowieckiej, gdzie w tym czasie przebywały jeszcze 33 osoby pochodzenia żydowskiego. Zostali tam jeszcze 11 lat. W 1956 r. zostali zmuszeni do opuszczenia ziem polskich. Rodzina Balbinów wyjechała do Australii, ich potomkowie mieszkają tam do dziś. Jedna z córek mojej prababci jeszcze przez długi czas utrzymywała kontakt listowy z Salą Balbin, obecnie Balter.

Feliksa Galach-Karczewska gościła w swoim domu w 1996 r. wnuków Jiddela i Toby Balbin, którzy przebywali na corocznej pielgrzymce Żydów do obozu koncentracyjnego w Auschwitz. To dzięki nim Józef Galach i jego córka Feliksa zostali zgłoszeni do Yad Vashem.

2 grudnia 1998 r. prababcia Feliksa otrzymała list z warszawskiej ambasady Izraela zapraszający ją na uroczystość nadania jej tytułu „Sprawiedliwej Wśród Narodów Świata”.

W ceremoniach tych biorą również udział przedstawiciele miejscowych władz, a wydarzenia przedstawiane są w mediach. Znaczenie tego wydarzenia widać najlepiej, gdy ocaleni przybywają na ceremonię nadania

tytułu z dziećmi, wnukami, prawnukami. Często należą oni do jedynej gałęzi rodziny, która ocalała z Zagłady. Yad Vashem ma prawo do nadawania honorowego obywatelstwa Państwa Izrael Sprawiedliwym Wśród Narodów Świata.

Od 2002 r. Yad Vashem wydaje Encyklopedię Sprawiedliwych, która wymienia przypadki pomocy Żydom. W tej encyklopedii ujęte jest również nazwisko mojej prababci. 14 grudnia 1998 r. prababcia została udekorowana medalem i dyplomem „Sprawiedliwa Wśród Narodów Świata”.

Józef Galach i jego córka Feliksa Karczewska są wypisani na tablicach pamiątkowych w Łodzi oraz w Tel Awiwie w Izraelu. ✨

Sprawiedliwi wśród Narodów Świata to osoby nieżydowskiego pochodzenia, które bezinteresownie, narażając życie, wolność lub stanowisko udzielały pomocy Żydom podczas II wojny światowej. Tytuł Sprawiedliwego przyznawany jest od 1963 r. przez państwo Izrael ludziom z całego świata ratującym Żydów. Jest to najwyższe cywilne odznaczenie państwowe tego kraju. Dotychczas otrzymało go ponad 26 tysięcy osób, w tym ponad 6600 Polaków.

O nadaniu tytułu Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata decyduje Instytut Yad Vashem w Jerozolimie za pośrednictwem specjalnej komisji, która rozpatruje składane wnioski. Sprawiedliwi otrzymują medal i dyplom honorowy, a ich nazwiska zostają wyryte



na pamiątkowej tablicy w Ogrodzie Sprawiedliwych w Jerozolimie. Na każdym medalu widnieją słowa **Kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat.**

Jestem bardzo dumna z tego, że moi dziadkowie okazali się tymi, co w obliczu zagłady „ratowali cały świat”. Wobec nasilających się w ostatnim

czasie oskarżeń Polaków o antysemityzm, to właśnie m.in. moja rodzina, ich bohaterstwo i poświęcenie, mogą stać się ambasadorami przywrócenia dobrego imienia Polsce i Polakom.

Przy pisaniu pracy pomogły mi rodzinne wspomnienia, moja wiedza, informacje zamieszczone w Internecie, oficjalna strona Yad Vashem.

JULIA STEMPOWSKA

uczennica klasy 3b gimnazjum SP nr 32 im. gen. Jerzego Ziętką w Bytomiu



Sala Balter (Balbin) z rodziną w Australii.



Tarawa 1943

Gdy rankiem 20 listopada 1943 r. u wybrzeży atolu Tarawa na Pacyfiku pojawiły się amerykańskie okręty desantowe, kilka tysięcy stłoczonych na pokładzie żołnierzy amerykańskiej 2 Dywizji Korpusu Piechoty Morskiej – słynnych marines, zaczęło schodzić do bujących się na wodzie łodzi desantowych. Dla młodych żołnierzy zbliżająca się bitwa miała być kolejną na ich szlaku bojowym – rok wcześniej toczyli walki na Guadalcanal, zdobycie której okazało się być punktem zwrotnym walk na Pacyfiku podczas II wojny światowej. Tym razem postawione przed nimi zadanie było podobne: mieli zająć największą wyspę atolu Tarawa – Betio oraz znajdujące się na nim japońskie lotnisko, które miało nie tylko pomóc w zajęciu reszty wysp Gilberta, leżących na środkowym Pacyfiku, ale otwierało możliwość bombardowania przez Stany Zjednoczone dalej wysuniętych celów. Zdobycie atolu Tarawa miało zbliżyć Amerykanów do Tokio.

Trzy bataliony, które miały zaatakować północny brzeg wyspy, nacierały na plażę o kryptonimach „Czerwone”. Jednak rankiem 20 listopada 1943 r. nikt spośród kilkuset marines zbliżających się do atolu Tarawa nie przeczuwał, że o ile przeżyje, będzie uczestnikiem jednej z najkrwawszych bitew stoczonych na Pacyfiku podczas II wojny światowej. Tym bardziej, że początek operacji, z perspektywy szeregowego żołnierza wyglądał na tyle zwyczajnie, na ile „zwyczajnym” można określić działania wojenne. Robert Sherrod, korespondent wojenny, płynący z pierwszą falą desantu tak wspominał: *o godzinie 5.05, usłyszeliśmy wielki łomot na południowym zachodzie. Wiedzieliśmy, co to znaczy: pierwszy pancernik wystrzelił pierwszy strzał, więc wszyscy wyskoczyliśmy na pokład (łodzi desantowej – M. Ł.), pokaz się zaczął...* Sherrod nie wiedział jeszcze, że strzały oddane z amerykańskiego pancernika były odpowiedzią na ostrzał japońskiej artylerii nadbrzeżnej, która wypatrzyła wrogą flotę u wybrzeży Betio. W dodatku żołnie-

rze stłoczeni na łodziach desantowych, stanowiąc łatwy cel dla Japończyków, nie mogli przypuścić szturmu na plażę – okazało się, że m.in. z powodu słabych map obszaru, flota zakotwiczyła na południe od wyznaczonego obszaru.

Gdy pierwszy rzut desantu zbliżał się mozolinie ku plażom Betio, nad głowami marines pojawiło się amerykańskie lotnictwo, które przeprowadziło nalot na plażę, na których znajdowały się japońskie pozycje. Brak koordynacji między lotnictwem a marynarką sprawił, że myśliwce odleciały o godz. 8.55, a pierwsi żołnierze trzech batalionów wyznaczonych do utworzenia przyczółków przypuścili szturm na Betio dopiero piętnaście minut później. Oznaczało to, że obrońcy Tarawy mieli kwadrans na uporządkowanie pozycji po bombardowaniu i ponowne przygotowanie się do obrony.

Przekonali się o tym marines, gdy tylko pierwsze amfibi (tzw. amtraki) oraz stanowiące większość floty łodzie desantowe (tzw. „łodzie Higginsa”) zaczęły docierać do rafy koralowej okalającej wyspę Betio. Żołnierze znaleźli się pod morderczym ogniem artylerii i karabinów maszynowych, chociaż wydawało się, że nikt nie miał prawa przetrwać nalotu. Zaczynały ziszczać się słowa dowódcy japońskiej obrony, kontradmirała Keiji Shibazaki, który system umocnień wybudowanych na Tarawie opisał wprost – *trzeba miliona żołnierzy i stu lat, aby zdobyć Tarawę.*

Teraz wiedziałem, że na wyspie są Japończycy i oczywiście jest ich mnóstwo. Nie byli martwi. Wybuchy pocisków artyleryjskich wokół nas świadczyły o tym – wspominał po zakończonej bitwie jeden z jej uczestników. Ogień japoński zaprowadził jeszcze większy chaos wśród atakujących marines. Po pierwszej fali (desantu – M. Ł.) najwyraźniej nie było żadnych zorganizowanych fal, które tak pięknie uderzyły w plażę podczas ostatnich ćwiczeń. Był tylko sporadyczny amtrak, który docierał do plaży, a potem (jeśli nie został zniszczony) wracał po więcej żołnie-

rzy. Byliśmy tam: jedna łódka, a my już dostaliśmy się pod piekielny ostrzał mając tyśiąc jardów do przebycia. Spojrzałem... i zobaczyłem, że w inny amtrak w odległości trzystu metrów po lewej trafia coś, co wyglądało jak pocisk moździerzowy.

Po kilku minutach straty kompanii K, atakującej plażę „Czerwoną 1”, były tak duże, że wątpić należało w możliwość utworzenia przez nich przyczółka. Atakująca obok kompania I, choć dostała się pod mniej morderczy ogień, w ciągu dwóch godzin meldowała o poniesionych stratach sięgających 50% stanu osobowego. Wyczerpani żołnierze, którzy cudem uniknęli śmierci i dotarli do plaży, zapadali pod fałochronem z pni palmowych, nie mogąc wychylić się – ogień japoński był zbyt silny.

Tymczasem do plaż docierał następny desant. Nieszczęśnicy, którzy nie znajdując miejsc w nielicznych amfibiach wsiadli do płaskodennych łodzi desantowych, nigdy nie dotarli do plaży. Planując operację na Tarawie, sztab amerykański nie uznał za wiarygodną informację, że rankiem 20 listopada nastąpi odpływ, a okalająca Betio rafa koralowa znajdzie się jedynie pod półmetrową warstwą wody. „Łodzie Higginsa” mające zanurzenie 1,2 m osiadały na rafie koralowej, i nie mogły dowieźć do brzegu żołnierzy, którzy musieli brnąć kilkaset jardów po pas w wodzie, odstonięci ze wszystkich stron i wystawieni na morderczy ogień artylerii i broni maszynowej.

Widzisz tam tę starą bryłę japońskiego frachtowca? Wypuszczę cię tam, a potem wrócę po więcej ludzi. Możesz stamtąd brnąć – powiedział do Roberta Sherroda dowódca łodzi. Jak wspominał później korespondent: *Spojrzałem. Zardzewiały stary statek znajdował się około dwustu metrów za molem. To oznaczało jakieś siedemset jardów brodenia w ogniu karabinów maszynowych, których kule gwizdały nad naszymi głowami. Nasza piętnastka wyskoczyła przez burtę... w wodę, która była po szyję... japońskie karabiny maszynowe otworzyły ogień do nas. By-*



to to boleśnie powolne brodzenie w tak głębokiej wodzie... Byłem przerażony, jak nigdy przedtem... mój mózg mówił mi, że żyję ostatnie minuty... Nie wiem kiedy to się stało, ale zdałem sobie sprawę, że już się nie boję. Chyba stało się to, gdy rozejrzałem się i zobaczyłem, że amtrak wraca po kolejnych marines...

Nie wszyscy mieli tyle szczęścia, co autor cytowanych słów. Nieliczni spośród tych, którzy dotarli do plaż, nie byli w stanie wykonać jakiegokolwiek skoku naprzód. Wszyscy żołnierze, którzy dotarli do plaży „Czerwonej 2” (w centrum natarcia amerykańskiego) – łącznie 48 marines, załęgło u stóp falochronu powstrzymując jedynie nieliczne, samobójcze ataki *banzai*.

Tymczasem amtraki, które cudem dotarły do zachodniej plaży, dawały marines niewielką osłonę, dzięki której pojedynczy strzelcy zaczęli przemieszczać się do przodu. Tym sposobem, do południa, marines utworzyli 40-metrowy przyczółek na plaży „Czerwonej 1”. Los uśmiechnął się do Amerykanów – podczas ponownego nalotu amerykańskich myśliwców zginął dowódca obrony japońskiej kontradm. Shibazaki, gdy wraz ze sztabem przemieszczał się do oddalonego od plaży punktu oporu. Nie oznaczało to oczywiście końca walk – fanatycznie wychowani żołnierze japońscy nie mieli najmniejszego zamiaru poddać się, co było równoważne z utratą honoru. Woleli zginąć w walce za cesarza, do końca broniąc swoich pozycji, nawet gdy zostali pozbawieni dowództwa i łączności.

Jednak o tym wszystkim nie wiedzieli jeszcze marines, starający się opuścić plażę „Czerwone”, usiane ciałami zabitych kolegów. Dopiero po południu żołnierze 2 dywizji ruszyli wzdłuż zachodniego wybrzeża wyspy Betio, gdzie zgodnie z planami operacji znajdowały się rezerwowe miejsca desantu – plażę „Zielone” – nie były broniące przez Japończyków, jednak, nim dowództwo amerykańskie mogło cokolwiek z tym faktem zrobić, zapadła niespokojna i niebezpieczna noc. Amery-

kanie bali się Japończyków, słynących ze skradania się w nocy i zabijania śpiących żołnierzy, jednak największe obawy budziła możliwość przeprowadzenia przez nich zmasowanego nocnego ataku. Dlaczego Japończycy nie przypuścili na osłabionych obrońców jednej z ostawionych szarż *banzai*, dotychczas pozostaje zagadką?

Świt, 21 listopada, rozpoczął drugi dzień walk, prowadzonych z nie mniejszą zaciekłością. Amerykanie powoli posuwali się do przodu – japońska taktyka, koncentrująca się na bronienu odosobnionych punktów oporu zamiast prowadzenia kontrataków, ułatwiała zadanie marines. Po południu na oczyszczonych plażach „Zielonych” wylądowały kolejne dwa bataliony marines, które podjęły mozolne natarcie w kierunku centrum wyspy i leżącego na nim lotniska. I choć każda pięćdziesiątka była twardo bronią przez przeciwnika, szala zwycięstwa powoli zaczęła przechylać się na stronę Amerykanów, którzy niszczyli kolejne schrony japońskie miotaczami płomieni i ładunkami wybuchowymi. Odnoszone sukcesy nie oznaczały, że marines nie ponoszą strat – na każdym kroku padali kolejni zabici, trafiani z nieodkrytych jeszcze umocnień. Wzięcie obrońców Betio do niewoli było niemożliwe – żołnierze japońscy, gdy sytuacja była beznadziejna, wybierali samobójstwo niż niewolę u Amerykanów.

Jak wspominali weterani walk, wszędzie unosił się obrzydliwy fetor rozkładających się ciał. Równocześnie wszystkim doskwierało pragnienie – chociaż był listopad. Tarawa znajduje się prawie na równiku, a jedyne studnie znajdowały się wcześniej w rękach japońskich. *Byliśmy wiecznie spragnieni..., lecz otrzymaliśmy rękawicę, aby nie pić wody (ze studni – M. Ł.)* – wspominał później jeden z marines. Wydanie rozkazu było spowodowane częstym zatruciem studni przez Japończyków. Amerykanie toczyli walki spragnieni i przemęczeni. Dowodzący siłami amerykańskimi na Betio gen. Julian Smith – 21 lis-

topada podsumował w meldunku krótko: *Zwyciężamy.*

Jeszcze przed zmrokiem 22 listopada ostatni obrońcy Betio – około tysiąca żołnierzy, zostało otoczonych. W ciągu nocy Japończycy przypuścili dwie szarże *banzai*, z trudem odparte przez Amerykanów w walce na bagnety. Gdy wstał świt, marines naliczył 375 ciał leżących przed ich pozycjami. Dalsze oczyszczanie wschodniego skraju wyspy przyniosło śmierć kolejnym 475 Japończykom. Rankiem, 24 listopada zniszczono ostatni punkt oporu na wyspie – system bunkrów strzegących dostępu do plaż „Czerwonych”, na których poległo tylu żołnierzy w pierwszym dniu operacji. Dwa dni później wyspa ostatecznie została oczyszczona.

Dlaczego Amerykanie chcieli zdobyć tę niewielką wyspę na środkowym Pacyfiku? Taktyka „żabich skoków”, stosowana przez Amerykanów od 1943 r. w walkach na Oceanie Spokojnym, zakładała zdobywanie najważniejszych wysp, leżących na drodze do Japonii. Z nich, po uruchomieniu lotniska, miały startować bombowce atakujące kolejne archipelagi aż do samego Tokio. Walki o Tarawę wpiły się w tę taktykę – lotnisko na Betio umożliwiło wsparcie lotnicze podczas walk o wyspy Marshalla na początku 1944 r., które otworzyły drogę do Iwo Jimy i Okinawy i, ostatecznie, Tokio. Jednak Amerykanie zapłacili wysoką cenę za zwycięstwo na Tarawie – w tygodniu walk marines stracili 3301 żołnierzy. Walczący do końca Japończycy stracili 3583 żołnierzy oraz 1169 robotników przymusowych z Korei. Bitwa o Tarawę, w Polsce zwykle pomijana jako mało znacząca dla losów naszego państwa podczas II wojny światowej, w USA stanowi jeden z symboli męstwa amerykańskiego żołnierza, którym wykazał się podczas jednej z najcięższych bitew stoczonych na Pacyfiku. O zaciekłości walk na Tarawie świadczy informacja, że jedynie 17 obrońców Betio trafiło do niewoli.

MIKOŁAJ ŁUCZNIOWSKI